

Dlaczego Izrael wybiera przemoc

9 lipca 2010

Śmiercionośny atak izraelskich komandosów na flotyllę Wolnej Gazy spotkał się na całym świecie z potępieniem w najróżniejszy sposób: jako terroryzm państwowy, piractwo, zbrodnia wojenna oraz kolejny przykład aroganckiej pogardy Izraela dla prawa międzynarodowego, wreszcie zbrodniczego lekceważenia dla (nieżydowskiego) życia ludzkiego.

W obliczu tego, jak niesłychany pozostaje ten czyn – oraz żniwa zabitych i rannych wśród nieuzbrojonych działaczy, pragnących przełamać trzyletnie oblężenie Gazy – nie sposób nie zgodzić się z tymi zarzutami. Nie wyjaśniają one jednak, czemu Izrael decyduje się na takie zachowania. Jego przywódcy, zarówno cywilni jak i wojskowi, to nie podekscytowane i rozhisteryzowane żółtodzioby. Ich działania są przemyślane i starannie wykalkulowane. Jaka więc stoi za nimi zimna strategia?

Wydaje się, że w praktyce wdrożono dwie różne strategie, z których pierwsza wymierzona jest w Palestyńczyków, druga zaś w przeciwników Izraela na Bliskim Wschodzie – po pierwsze i przede wszystkim w Iran, ale także w radykalnych arabskich sojuszników Teheranu: Syrię, Hezbollah i Hamas.

Strategia wymierzona w Palestyńczyków nie jest wielką tajemnicą. Od samego początku syjonistycznego planu oznaczała ona dążenie do ich pokonania i wypędzenia z ziemi, którą zamieszkiwali. Od czasu wojny w 1967 r. żydowska kolonizacja okupowanych terytoriach palestyńskich postępowała w szybkim tempie bez względu na opcję polityczną kolejnych rządów. Pragnienie Wielkiego Izraela od morza po rzekę Jordan nie jest już wyłączną domeną mesjańskich fanatyków i skrajnej prawicy nacjonalistycznej. Jest dziś powszechniejsze niż kiedykolwiek

wcześniej odkąd powstało to państwo.

Dążenie do realizacji ambicji ekspansjonistycznych sprawiało, że Izrael zawsze unikał poważnych negocjacji z Palestyńczykami, ponieważ ich powodzenie nieuchronnie oznaczałoby cesję terytorialne. Izrael traktuje z odrazą umiarkowanych i pragnących negocjacji Palestyńczyków – takich jak pechowy prezydent Autonomii Palestyńskiej Mahmud Abbas. O wiele bliżsi pozostają mu palestyńscy radykałowie tacy jak Hamas, z którym żadne negocjacje nie są możliwe. Dość wiele mówi znajomy izraelski refren: „Jak można negocjować z kimś, kto chce cię zabić?”

Atak na flotyllę poza wodami terytorialnymi Gazy należy uznać za ostatnią próbę doprowadzenia przez Izrael do radykalizacji Palestyńczyków, a co za tym idzie storpedowania mozolnie przygotowywanych i nawet jeszcze nie rozpoczętych rozmów „sąsiedzkich” z wysłannikiem prezydenta Baracka Obamy Georgiem Mitchellem. Mahmud Abbas znajdzie się teraz pod olbrzymim naciskiem na rzecz wycofania się z rozmów, gdyż inaczej może zostać ogłoszonym zdrajcą przez rozwścieczonych Palestyńczyków czy arabską opinię publiczną.

Izrael niewątpliwie kalkuluje, że po przejściu burzy zyska on czas na dalszą ekspansję. Ostatni zbrojny atak Izraela zostanie niedługo zapomniany, podobnie jak jego mordercza wojna przeciw Gazie w grudniu-styczniu 2008-09, która w znacznej mierze utonęła w powodzi innych zdarzeń. Oblężenie Gazy trwa, Palestyńczycy pozostają podzieleni, społeczność międzynarodowa wzdycha i szłocha, ale nie robi nic, a Izrael przygotowuje się do dalszej kolonizacji.

Premier Benjamin Netanjahu bez wątpienia liczy na to, że Obama nie odważy się na twardą postawę wobec Izraela przed wyborami w październiku – czy nawet po nich, jeśli Demokraci stracą grunt pod nogami.

Izraelska doktryna bezpieczeństwa wobec szeroko rozumianego

Bliskiego Wschodu została wykuta jeszcze przed powstaniem państwa przez jego pierwszego premiera Dawida Ben Guriona: aby zagwarantować jego bezpieczeństwo i trwałe istnienie we wrogim otoczeniu, Izrael musi być wojskowym panem regionu, potężniejszym od dowolnej kombinacji jego przeciwników. Izrael nigdy nie może pokazać słabości i zawsze musi reagować z całą siłą na każde wyzwanie – nawet to postawione przez propalestyńskich aktywistów pokojowych. „Nigdy więcej!” – oto slogan wojowniczego i bezczelnego państwa Izrael.

Aby utrzymać militarne panowanie nad regionem, Izrael i jego amerykańscy przyjaciele – mający wówczas duże wpływy w Pentagonie i biurze wiceprezydenta – pchnęli Amerykę do wojny przeciwko Irakowi Saddama Hussajna w 2003 r., nie wahając się sfabrykować dowodów na posiadanie przez Irak broni masowej zagłady. Z izraelskiego, choć nie amerykańskiego punktu widzenia ta wojna była sukcesem, w najgorszym razie oddalając irackie zagrożenie dla Izraela o całe pokolenie.

Dziś Izrael widzi swego głównego przeciwnika w Iranie. Chce być pewny, że jeśli zdecyduje się na atak na irańskie instalacje nuklearne, Amerykanie przyłączą się do niego i uchronią go przed atakiem nuklearnym. By jednak zapewnić sobie amerykańskie poparcie, zmuszony jest najpierw zademonstrować własną bezwzględność, podejmując decyzję o konfrontacji i zdruzgotaniu jakiegokolwiek – choćby najlichszego – zagrożenia dla własnej supremacji. Atak na flotyllę płynącą do Gazy należy zatem postrzegać jako pokaz siły, przygotowujący politycznie i psychologicznie grunt do ataku na Iran. W umyśle Netanjahu i Obamy, walka Izraela z Palestyńczykami i jego spór z Iranem to części jednej układanki.

Netanyahu i jego ideolodzy angażują się rzecz jasna w bardzo ryzykowne i bardzo kosztowne strategie. Izrael ma dziś na pieńku z resztą świata. Nienawiść do państwa Izrael przybierze na sile, nie tylko wśród muzułmanów, w nieodłącznym towarzystwie antysemityzmu. „Delegitymizacja” Izraela – już dziś przyprawiająca o ból głowy wielu żydowskich

intelektualistów w Stanach Zjednoczonych i Europie – nabierze rozmachu.

Międzynarodowa presja na Izrael na rzecz zakończenia okrutnego trzyletniego oblężenia Gazy może okazać się przemożna. Egipt, który w 1979 r. przyjął formalne porozumienie pokojowe z Izraelem, znajdzie się pod ogromną presją na rzecz zerwania z nim stosunków dyplomatycznych ze strony własnej rozwścieczonej ludności. Oskarżany przez wielu Arabów o współudział w oblężeniu Gazy, egipski prezydent Husni Mubarak już rozkazał otwarciu przejścia granicznego do Gazy w Rafah w celu umożliwienia przepływu pomocy humanitarnej. Jordania, od wielu lat bliska Izraelowi przez wiele lat, może również okazać się zmuszona do zdystansowania.

Turcja, niegdyś sojusznik Izraela, dołączyła właśnie do szeregu jego najbardziej zapamiętałych wrogów. To najcięższa cena, jaką Izrael zmuszony jest zapłacić za swój gwałtowny ucisk Palestyńczyków, głód ziemi oraz ekstrawaganckie ambicje regionalne. Spór o lokalną supremację między Izraelem i Turcją oznacza eskalację kryzysu.

Jak napisał dla Jedijot Aharonot prawicowy izraelski komentator Mordechaj Kedar z Uniwersytetu Bar-Ilan: „Kto jest panem regionu?... Siły Ottomańskiego Imperium, które znów aspirują do panowania nad Bliskim Wschodem... zostaną zatrzymane na wybrzeżach Gazy.”

Również Stany Zjednoczone zapłacą dużą cenę za agresywne zachowanie Izraela. Jego problematyczny sojusznik stał się ciężarem. Oto dylemat Obamy. Jeśli doprowadzi do gwałtownej konfrontacji z Izraelem – czego na pewno tego chciał – zapłaci za to politycznie we własnym kraju; jeśli tego nie uczyni, jego reputacja ucierpi za granicą.

Kluczowym pytaniem, które nie znalazło jeszcze odpowiedzi, jest to, czy kryzys międzynarodowy doprowadzi do kryzysu wewnętrznego w samym Izraelu. Możliwe, że izraelska opinia

publiczna, zaalarmowana wrogością na świecie oraz strachem przed utratą poparcia ze strony Stanów Zjednoczonych, może zbuntować się przeciwko bezkompromisowej i niebezpiecznej polityce Netanjahu. Może zmusić go to do ustąpienia i rozpisania nowych wyborów.

Właśnie o taki rezultat zapewne modli się Obama.

Autor: Patrick Seale

Tłumaczenie: Artur Maroń

Źródło: [Internacjonalista](#)

O AUTORZE

Patrick Seale – brytyjski znawca Bliskiego Wschodu i autor książki *The Struggle for Arab Independence: Riad el Solh and the Makers of the Modern Middle East* (Cambridge University Press).